№ 14 WARSZAWA, DNIA 6 KWIETNIA 1912 ROKU ROK II

NASZ ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.



ALLELUJA!

Biją dzwony Zmartwychwstania
 Alleluja! — płynie pieśń —
Z mroków światło się wyłania,
 Zwyciężona grobu pleśń!

Zwyciężona śmierci władza
 Powstał bowiem Chrystus Pan
I wesele nam sprowadza
 Żywot wieczny jest nam dan...

Alleluja! — ziemia śpiewa —
Alleluja! -- słychać zwyż:
Cisza serce tym owiewa
Którzy nieśli z Nim swój krzyż.
Ziemię jasność dziś otacza
I majestat bije z niej
Aż stęskniona pierś tułacza
Dziś oddycha głębiej, lżej...
Dziś radością tchnie świat cały,
A kto wiele przelał łez
Tego zdobi Pan w blask chwały,
Ukazując cierpień kres...
Bo dziś tryumf łez, cierpienia —
I kto więcej sercem żył
Tego Zbawca sam ocenia
Duch nad ziemi wznosząc pył.
I z tych wyżyn oko jego
Nieśmiertelność widzi cnót:
Czyn, od małych do wielkiego
Przezwycięża śmierci chłód
I powstaje oto wzniosły
I potężny, wiecznie żyw —
Słyszy, jak tę wieść rozniosły
Gońce nieba pośród niw,
Widzi, jak to, co się zdało,
Że już zgasło, starte w pył,
Znowu się obleka w ciało,
Zmartwychwstałe — pełne sił!
. . . .

I z dzwonami śpiżowemi
Płynie w dal i hejnał gra —
I na wszystkich krańcach ziemi
Budzi się nadziei skra,
Ona w płomień się rozżarza,
W wiary i miłości wiew,
Ludzkość, z duchów swych ołtarza,
Dzwoni dziś zwycięzki śpiew...
Alleluja! — pieśń ta święta
Bije aż do niebios wrót —
Opadają gnuśne pęta,
Płonie, płonie w dali wschód!
Wschód naszego zmartwywstania
Pracy, ofiar, twórczych sił—
Szczęście Zbawca nam odsłania,
Mówiąc: — Kochaj – będziesz żył!

Stefanja Ottowa.

Gustaw le Rouge.

NIEWIDZIALNI.

Ciąg dalszy.

— To nie był piorun—gdyż w takim razie miedź i stal byłyby stopione; a widzimy, że przełamania ich są czyste i świecące... Wyglądają, jak gdyby pękły pod naciskiem jakiegoś ogromnego ciężaru...

Nagle umilkł: motyka jego zahaczyła o kosz, upleciony z łozy, zabezpieczający szklany balon.

— Pikrat potasu!—krzyknął—co za szczęście, że nie uderzyłem mocniej w tej chwili!.. Ale jak też się szczególnie szyny nad nim spiętrzyły; to go uchroniło od wybuchu...

Wyjęto ostrożnie groźny balon i umieszczono na tarasie. Pitcher zamyślił się, a po chwili rzekł:

— No, teraz oddycham — bo dotąd zdawało mi się, że stoimy na wulkanie... Jednakże, widzę teraz, że źle prowadziliśmy nasze poszukiwania, ale to już moja wina... Nie znajdziemy tu ciała biednego kapitana,

gdyż ta rozpalona masa musiała je pociągnąć za sobą, przebijając sklepienie, aż na dno piwnicy...

Teraz już zdawali sobie sprawę z przebiegu katastrofy: rozpalona bryła, niewiadomego pochodzenia i składu, przebiła, jak pocisk armatni, dwa sklepienia, położone pod laboratorjum. Teraz wszyscy zeszli o piętro niżej, do łazienki z mozaikową podłogą; ściany jej były wyłożone białym marmurem, a na jednej z nich widniała smuga krwi.

Jerzy w milczeniu wskazał ją miss Albercie, która szepnęła smutnie:

— Zejdźmy jeszcze niżej...

— Czy wie pani — rzekł nagle Ralf — co mi przyszło na myśl? Oto dzisiejsza katastrofa jest nader podobną do tej, która spowodowała śmierć starego Ardaveny.

— Więc cóż pan myślisz o tem?

— Że jesteśmy świadkami wydarzenia, dość często się powtarzającego... To jakiś zwyczajny meteor lub bolid, czy może gwiazda spadająca wielkich rozmiarów, która spadła wprost na willę.

— A ten bolid?

— On to wybił okrągły otwór w sklepieniach. Teraz mogę z całą pewnością powiedzieć, że na dnie tego otworu leży zwykły bolid!

Słowa te sprawiły głębokie wrażenie na młodej dziewczynie: popatrzyli na siebie oboje z Jerzym, nie śmiąc wyrazić słowami przypuszczenia, które mieli na myśli.

Zstępowali śpiesznie na najniższe piętro. Były tam olbrzymie, sklepione podziemia, pochodzące jeszcze z czasów Rzymian; ta część Tunisu zawiera mnóstwo podobnych budowli. Willa była zbudowaną na miejscu starożytnej fortecy, której podziemnych lochów nie zasypano, lecz zużytkowano na piwnice, oraz pomieszczono w nich kaloryfery i motor elektryczny. Lecz ognisko maszyny zagasło, a mechanik i palacz uciekli, sądząc zapewne, iż cała willa wali się im na głowy. Dziwnem nawet było, że uszli cało, gdyż o kilka metrów ode drzwi padł złowrogi pocisk, zdruzgotawszy część maszyny.

— A co! — zawołał Pitcher, potrząsając pochodnią — to bolid, byłem tego pewnym! I to bolid sferyczny!..

Wszyscy się rzucili w tę stronę. Przy świetle pochodni ujrzano bryłę okrągłą, mającą około trzech metrów średnicy, utworzoną z rodzaju szklistego granitu, o powierzchni lśniącej miką. Obłok pary otaczał ją dokoła.

Frymcock, który chciał jej dotknąć, odskoczył z okrzykiem bólu.

— Na Jowisza! - zawołał — to jest rozpalone do czerwoności żelazo!

— Kapitan jest pod tą bryłą... — szepnął z boleścią Ralf.

— Kto wie? — rzekła cicho znękana miss Alberta—dopóki nie ujrzymy ciała, nie trzeba tracić nadziei...

— Na nieszczęście, nie możemy już mieć żadnej wątpliwości — odparł Jerzy z mimowolnym dreszczem zgrozy, wskazując na spód bryły.

Widniała tam zaciśnięta, nawpół spalona ręka...

Miss Alberta zamknęła powieki, jej piękna twarz pokryła się trupią bladością.

Pitcher płakał jak dziecko.

Wszyscy stali w osłupieniu.

— Miss Alberto, odejdź pani, błagam! Oszczędź sobie strasznego widoku... to nie na pani siły!—szepnął Jerzy.

— Nie! — zawołała z mocą, choć gwałtowne łkanie wyrywało się jej z piersi—pozostanę tu do końca, powinnam to uczynić dla niego... Gdybyście, tak jak ja, znali jego dobroć, jego poświęcenie, jego charakter... Kochałam go jak ojca — i pomimo rzeczywistości, nie mogę jeszcze uwierzyć w tę prawdę straszliwą!..

(D. c. n.).

(Tłom. z fran. *K. W.*).

TADEUSZ CZACKI.

OBRAZEK SCENICZNY W 2-ch ODSŁONACH.

□ □ □

Między pierwszą odsłoną a drugą upływa rok czasu.

OSOBY:

SZCZĘSNY CZACKI,
TADEUSZ, syn jego,
FRANCISZEK ŚWIĄTKOWSKI, stary żołnierz,
JÓZIEK, JASIEK, WOJTEK, STAŚ — chłopcy wiejscy,
MARYSIA, służąca,
DZIECI WIEJSKIE,

Rzecz dzieje się w Porycku.

Odsłona I.

Na prawo ganek dworu wiejskiego, w głębi sztachety, na lewo pod drzewem ławka.

Przy podniesieniu kurtyny Tadzio siedzi na schodach, Józiek, Jasiek, Wojtek i Staś obok niego.

Tadzio (zamyka książkę). Podobało wam się?

Jasiek. Śliczności w tych książkach! Że też to na każdej panicz umieją czytać.

Tadzio. Mój Jasiu, jak się umie na jednej, to już i na wszystkich.

Józiek. Ja tego nijak nie mogę skalkulować i tak sobie myślę, że jeszcze na jednej to może bym się i nauczył, ale na tylu co panicz, toby mi życia nie starczyło.

Jasiek. Chybaby człowiek cięgiem ino uczył się i uczył.

Staś. Ale... cięgiem... ktoby tam mógł!

Tadzio (wyjmuje książeczkę z kieszeni). Widzicie, to jest książeczka, która nazywa się elementarzem. I kto się na tej nauczy czytać, ten już wszystkie drukowane po polsku przeczyta.

Staś. A to nie zaczarowany ten elementarz?

Tadzio. Niemądry jesteś! Ciągle z wami rozmawiam i czytam wam różności z książek, a wy nic! Chyba mój Medor mądrzejszy od was...

Józiek. A Medor nie wie, co to pszenica, a co owies, a ja wiem!

Staś. Ino-z ziemi wyjrzy, to wiem!

Wojtek. O! jakie to mądre, kiej strachy na wróble — a ja to paniczu inaczej wykalkulowałem. Tak ścisnąłem swój myślunek, że mi się i jasno zrobiło.

Jasiek. Zawdyś najmądrzejszy!

Wojtek. A możeś ty najmądrzejszy?

Tadzio. Mój Wojtku, powiedz no mi, jakżeś ty tam wykalkulował?

Wojtek. A tak, paniczu, zwyczajnie. Mnie się to tak widzi: jeżeli na jednej książce napisane Wojtek, to na drugiej będzie tak samo stojało i na trzeciej tak samo — i jeżeli ja na jednej książeczce przeczytam Wojtek, to i Wojtek przeczytam na drugiej i Wojtek przeczytam na trzeciej i na wszystkich.

Tadzio. Doskonale, Wojtku, bardzo dobrze. Rozumiecie teraz?

Jasiek. A czy to tylko Wojtek tak we wszystkich książkach jednakowo stoi?

Tadzio. Jaśku! bój się Boga! Oj chłopcy, chłopcy, żeby tak można was wszystkich z Porycka do szkoly posłać — galancieby było — co?

Wojtek. Oj że galancie, to galancie, a powiedzcie paniczu, jak to tam jest w tej szkole?

Józiek. Powiedzcie, paniczu, powiedzcie.

Tadzio (wstaje i bierze od Stasia kij). Daj no, wyrysuję wam szkołę (rysuje na ziemi podłużny czworobok). O widzicie, tutaj stoją ławki jedna za drugą, jedna za drugą i w nich siedzą chłopaki—a tu siedzi pan profesor. Czasami to on wyżej siedzi, żeby dobrze wszystkich widzieć.

Wojtek. A jak który nie uważa, to go capnie, prawda paniczu?

Tadzio. A pewno że capnie, bo w szkole trzeba uważać...

Staś. Ja bym uważał.

Józiek. I ja też.

Wojtek. A niechby który z Porycka nie uważał, to bym go tak sprał, że aż ha...

Staś. Jaki mi skory... widzita go...

Józiek. A nauczyciel to ciągiem czyta z takich książeczek, jak te paniczyne?

Tadzio. Nauczyciel czyta i uczniowie czytają, potem nauczyciel opowiada, chłopcy powtarzają, a potem chłopcy piszą i śpiewają... i rozmaicie.

Wojtek. A biją?

Tadzio. Jak który zasłuży, to go tam i porządnie przetrzepią.

Jasiek. O jej!

Wojtek. O Józkowi to by nieraz się dostało... Paniczu, a o ziemi to tam uczą, że to ona się tak kręci?

Tadzio. A jakże... i o ziemi, i o niebie, i o ludziach, co żyli na ziemi dawno, dawno temu i o rozmaitych krajach, o górach, rzekach...

Wojtek. O laboga! I to się w głowie nie pokręci!

Tadzio. E, nie...

Staś. Paniczu, a wiedzą panicz, że my zrobili stołek i ławkę?

Tadzio. Już? tak prędko? To z was zuchy.

Józiek. Stołek, to jak stołek, a ławka to będzie dycht taka długaśna, jak pół izby. Wielaśka to izba.

Tadzio. W zimie będziemy się tam schodzić na czytanie.

Wojtek. Już my ją oporządzimy galancie.

Głos ojca (za sceną). Tadziu! Tadziu!

Tadzio. Ojczulek woła.

Wojtek. Niech panicz zostanie z Panem Bogiem. Hej chłopcy! za mną! Krótszą drogą (przechodzi przez sztachety, za nim Jasiek, Józiek i Staś wybiegają na lewo).

Tadzio. Uważaj... Wojtek, łeb sobie rozbijesz.

Wojtek (podnosi się po drugiej stronie z upadku). E, paniczu, ja mam taki twardy łeb, taki twardy, że możnaby nim tłuc kamienie! (wywraca koziołka i wybiega. Wychodzi z dworku ojciec Tadzia).

SCENA II.

Ojciec i Tadzio.

Ojciec. Cóż to w szkołę się bawisz? prosiłem cię Tadziu, byś to zostawił na zimę, teraz odrywasz chłopców od zajęcia.

Tadzio. To tak tylko na krótko, ojczulku. Ach, ojczulku, oni tacy ciekawi.

Ojciec. No, dobrze, dobrze... Dobre z cie-

bie dziecko, więcej o innych myślisz, niż o sobie... idź, pobiegaj trochę, za wiele mi siedzisz przy książce.

Tadzio. Ojczulku, czy ojczulek jedzie jutro na jarmark?

Ojciec. A jakże! jedziemy we trójkę: ja Michaś i ty.

Tadzio. Ojczulku, a czy ojczulek pamięta?

Ojciec. A niby co?

Tadzio. Ojczulek obiecał... ojczulek zazapomniał?

Ojciec. Aha! o kasztanku mówisz?

Tadzio. Tak... tak... ojczulku! ten kasztanek co noc mi się śni. Dzisiaj to mi się śniło, że byłem na jarmarku, a dookoła było tak dużo, dużo koni, a potem nagle każdy konik zamienił się w książeczkę. Zabawny sen, prawda? Ojczulku, a ten kasztanek?

Ojciec. Sprawujesz się dobrze, konia będziesz miał.

Tadzio. I to będzie mój własny koń, taki prawdziwie mój?

Ojciec. A jakże! twój, najprawdziwszy twój!

Tadzio. To ja na nim będę mógł przyjechać z jarmarku?

Ojciec. A jakże... tak.. Będziesz mógł. Idę na pole — pójdziesz ze mną?

Tadzio. Ojczulek pozwoli, że zostanę, zacząłem czytać taką śliczną książeczkę.

Ojciec. Filozof będzie z ciebie, czy co? (wychodzi na lewo).

SCENA III.

Tadzio sam. Trzeba będzie wymyśleć jakie imię dla kasztanka... (otwiera książkę— chwila milczenia—czyta)

Nie mogę! Nie mogę o niczem innem myśleć, tylko o tem... Jakby to dobrze było! Izba toby była... ławki toby się zmajstrowało, ale skąd nauczyciela wziąć i to pewno drogo trzeba płacić... (rachuje) dwa złote, a trzy, to pięć, z przeszłego miesiąca 13 zł., to razem 18, stryj z Gdańska obiecał 10, to razem 28 złotych... a jeszcze.. Michasiowi pożyczyłem 4 zł., to będzie 32 (słychać szczekanie psów).

Głos Franciszka (za sceną). A pójdziesz ty precz! a pójdziesz! to ci utrapienie z psiakiem... a niechże go kto odpędzi..

Tadzio (zrywa się). O, Medor zaczyna swoje awantury... (wybiega na lewo).

Tadzio (za sceną). Medor! do nogi! nie bójcie się, panie żołnierzu, on nie ugryzie.

Franciszek. Wiadomo... pies domu pilnuje. Dziękuję wam, paniczu. Nie mógł. bym ja gdzie spocząć?

Tadzio. Proszę... proszę... tu jest ławka (wchodzą Tadzio i Franciszek, stary żołnierz).

SCENA IV.

p. Franciszek (siada). Zdaleka idę, zdaleka i głodnym...

Tadzio. Odpocznijcie... jeść dostaniecie i pić, i przenocować nie zabronią.

p. Francisz. Panie Boże zapłać. Grzeczny z panicza kawaler. Panicz z tego dworu?

Tadzio. Tak. Jestem Tadeusz Czacki, syn Szczęsnego.

p. Francisz. Kiedy kawaler taki grzeczny, to i mnie trzeba powiedzieć, kim jestem.

Tadzio Widzę, że z waćpana żołnierz.

p. Francisz. Tak... na żołnierce zęby się zjadło. Jestem Franciszek Świątkowski z pod chorągwi Kazimierza Pułaskiego.

Tadzio. O.. znacie go?

D. c. n.

Ernest Seton Thompson.

DZIELNY ROGACZ

(BARAN GÓRSKI).

I.

Spoglądam na pagórkowate płaskowzgórze, leżące daleko na północy Stanów Zjednoczonych.

Szarość i purpurę skał przerywają bogate, ciepłe tony barwne, świeżo zrodzone tony wiosny górskiej, najprawdziwszej wiosny w świecie, gdyż tylko tam, gdzie jest prawdziwa zima, bywa i prawdziwa wiosna.

Ciemność jest miarą światła.

Zdaje się, że natura, odmówiwszy ludziom przez długie sześć miesięcy rozkoszy swych, przyznaje się teraz do winy i chce wynagrodzić ten czas smutku wspaniałemi blaskami wiosennemi.

Półroczne powstrzymanie się od przyjemności opłaca jednym dobrowolnym datkiem, a dzień wypłaty przypada na koniec maja. Wtedy święłuje wiosna wielkie święto — radosny karnawał!

Nawet pustynny szczyt Parany, sterczący ponad północnym stokiem, przybrał weselszy wygląd. Wielką ilością kwiatów, które natura mogłaby wydać przez sześć przebytych miesięcy, ozdabia teraz wszystkie zakątki górskie, przeważa jednak wśród nich tylko jeden gatunek, wszędzie bowiem, gdzie okiem sięgnąć, ścielą się łubiny czerwone, zlewając się w wspólny ton z purpurowemi chmurami.

Ale i w końcu maja podmuchuje często zimny wiatr, a ścięta powierzchnia wód świadczy o nocnych przymrozkach.

Dmie „biały" wiatr... Ciemne chmury wznoszą się, i znowu wiruje śnieg ponad szczytami, ponad pasmem gór i pokrywa kwiaty górskie białym całunem ponurym, szaro białym, staje się znowu widno i drobne kwiatki przemalowują się na biało. Tylko łubiny wystają swemi sztywnemi łodygami ponad śnieg. Schylają głowy pod ciężarem śniegu, ale szybko strząsają go, w czem pomaga im niemało ten sam ostry wiatr i dumnie wznoszą głowę jak przystoi ich królewskiej purpurze. Nagle śnieg przestaje padać, rozchylają się zasłony chmur i ukazuje się niebieskie niebo i słońce, oświetlające wspaniale śnieżne szczyty i purpurowe łąki.

Wśród tych plam śnieżnych i purpurowych, wiją się dwa długie ślady.

II.

Śnieg wiosenny oddaje doskonale tropy zwierząt — wiedział o tem dobrze stary myśliwy, Scotty Macdonald, przewiesił więc swą strzelbę przez ramię i poszedł w kierunku śladów stad baranów górskich. Nie o widok mu szło, przeciwnie, nic go nie obchodziły białe śnieżne stoki, poprzerywane łąkami łubinu. Dopiero, gdy zbliżył się do podwójnych śladów baranich na nowym śniegu, spojrzał wokoło siebie uważnie i badawczo. Od pierwszego wejrzenia mógł je odczytać: były to ślady kopyt dwóch dorosłych owiec górskich, które nosami do wiatru zwrócone, przechodziły tędy. Potem zauważył, że owce były niespokojne, ale nie przestraszone i że znajdują się z godzinę drogi przed nim.

W wędrówce swej pokładały się one w osłoniętych miejscach na krótką chwilę, ale zaraz się podnosiły i szły naprzód — nie wiedzione głodem napewno bo przecież miały pożywienia masę wokoło i nie ruszały go nawet.

Ostrożnie szedł Scotty naprzód: mierzył odległość oczami i wcale nie wchodził w ślady owiec. Naraz spostrzegł małe zagłębienie pokryte łubinem, z którego wyskoczyły obydwie owce.

Zdjął strzelbę i byłby może zabił jedną z nich, gdyby bystre jego oko nie



dojrzało jeszcze w porę dwuch maleńkich jagniątek, które tylko co urodzone ledwie trzymały się na chwiejnych nogach i zdawały się wahać, czy zbliżyć się do obcego człowieka, czy iść za matkami.

Owce tymczasem ostrzegały swe małe przenikliwym bekiem i powróciły w łukowatych podskokach.

Teraz już nie wzdragały się dłużej jagniątka — czuły, że należą do tych, które podobne były do nich z wyglądu i zapachu — i poszły za matkami.

Z pewnością mógłby Scotty zabić owcę jedną albo wszystkie razem, gdyż był oddalony zaledwie o 30 metrów, ale przemogła tu wrodzona człowiekowi chęć „złapać żywe", i nie myśląc o tem, co z niemi później zrobi, powiesił strzelbę na drzewie i pobiegł za jagniętami.

A przez ten czas przerażone matki udzieliły swego strachu małym, tak że te nie wątpiły już, że muszą strzec się obcego i gdy zbliżył się bardzo, odskoczyły tak szybko, że ich nie schwycił.

Nie miały jeszcze godziny życia, a już uposażone były w instynkt, którym umiały się kierować. I chociaż nie poruszały się tak zwinnie na nogach jak stare, jednakże podążały wciąż za matkami. Te zaś, widząc grożące niebezpieczeństwo, trwożliwemi głosami starały się je zachęcać do szybszego ruchu.

Podniecane beczeniem matek i gwałtownemi ruchami człowieka, jagnięta posuwały się, ale po bujnej łące łubinowej ślizgały się im nogi — dopiero poczuły się na siłach, stanąwszy na nagiej skale, do której wreszcie doprowadziły je owce.

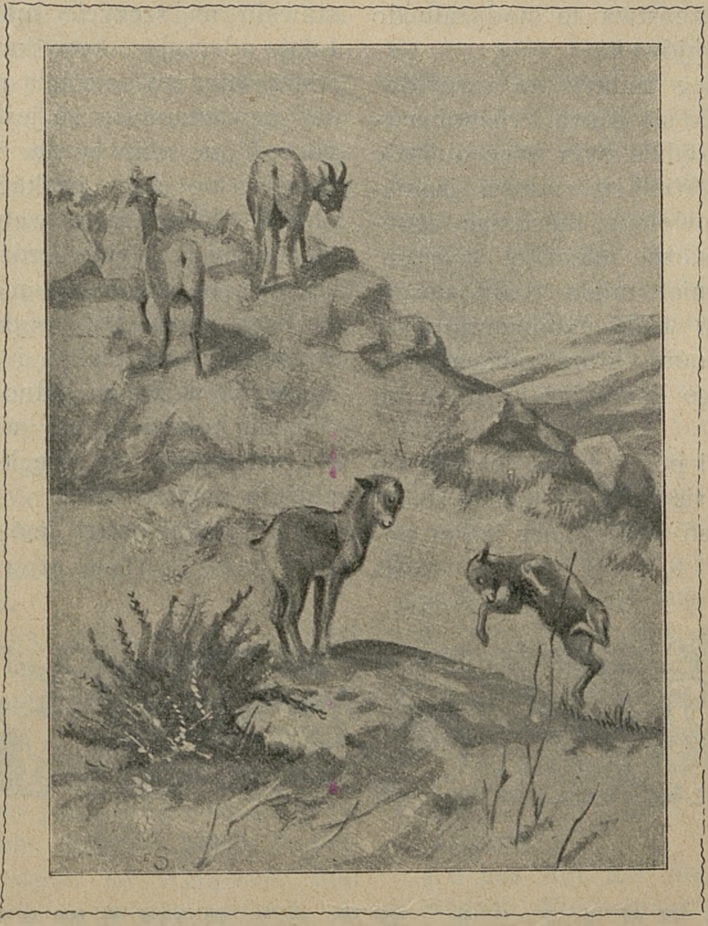
Nagie zręby skał, przedzielone szczelinami — to był żywioł owiec. Małe ich czarne kopytka chwyciły się zrębów skały i stały na niej mocno i bezpiecznie, a odpocząwszy chwileczkę znikły wraz z małemi wśród fantastycznych szczytów gór Baranich.

Szczęściem dla nich, że Scotty zostawił strzelbę na drzewie, bo przecież mógłby w jednej chwili położyć trupem

wszystkie owce. Wprawdzie pośpieszył po broń, ale zanim wrócił, opuściła się mgła, która ścieląc się po okolicy, zupełnie widok zasłoniła.

ani chwycić ich nie mogłem, a przecież nie mają one jeszcze godziny — mruczał, odchodząc.

Resztę dnia spędził na nadaremnem



... Oba wesołe i pełne życia, bawiły się ze sobą, kręcąc się wokoło matek...

Ten sam biały wiatr, który przymroził w zdradzieckim śniegu ślady i uczynił widocznemi tropy zwierząt, czem wystawił je na największe niebezpieczeństwo, zesłał teraz mgłę, która zakryła je przed wzrokiem ludzkim i zabójczą bronią.

Scottemu nie pozostawało teraz nic innego, jak pozostawić rodzinę owczą w bezpiecznych górach.

— A to małe djabliki, szelmy mądre,

poszukiwaniu i bezskutecznem strzelaniu, wreszcie powrócił do domu i zaspokoił głód wielkim kawałem chleba z szynką.

III.

Poszarpane zręby skalne nie stanowią najlepszej ojczyzny owiec, ale bardzo bezpieczne miejsce schronienia. To też matki, z chwilą kiedy się tu znalazły, nie odczuwały już strachu i następnych dni uważały bardzo, aby przy paszeniu się

na łące, nie odsuwać się zbytnio od tych szczelin.

Jagniątka rozwijały się bardzo szybko, tak że po tygodniu mogły już dorównać w chodzie matkom, gdy w razie grożącego niebezpieczeństwa te podążały do bezpiecznych kryjówek.

Wkrótce śnieg zniknął ze szczytów, wszędzie zieleniła się trawa i różnobarwne kwiaty. Wszędzie była więc obfitość pożywienia, ku wielkiej radości jagniątek, które, zadowolone, machając ogonkami, łykały smaczne mleczko.

Jedno z jagniąt miało biały nosek, drugie zaś, nieco większe, odznaczało się spiczastemi rożkami, które pokazały się na zgrabnym jego łebku już w kilka dni po urodzeniu.

Oba wesołe i pełne życia, bawiły się ze sobą, kręcąc się wokoło matek i skacząc przez dzień cały. Gdy jedno pobiegło gdzie, zaraz drugie doganiało je w podskokach i bodło rożkami — i tak podążały razem na pagórek kamienisty, gdzie zaraz rozpoczynały znany wśród owiec „taniec burzowy.” Jedno z jagniąt stawało na szczycie małego pagórka i tutaj, uderzając kopytkami o ziemię i wstrząsając swą okrągłą główką, zdawało się zawiadamiać, że jest w posiadaniu góry i nie obawia się żadnego napadu. Drugie nie dało czekać na siebie. Po chwili obie okrągłe wełniste główki, ze złożonemi ku tyłowi różowemi uszkami, stykały się z sobą, a niewinne ich piwne oczy, poruszały się dziko. Napierały wzajemnie na siebie i przyciskały do ziemi, aż w końcu jedno z nich przysiadło na kolanach, ale wnet podniósłszy się, wierzgnęło w górę kopytkami, jakby chciało powiedzieć:

— Co tam wart jest twój zamek!

(D. c. n.)

Tłom. *M. Arct-Golczewska.*

REGALJA KRÓLEWSKIE.

(Przygody profesora Nickiego i jego famulusa, Pawełka).

Opowiedział Edmund Jezierski.

Ciąg dalszy.

— Więc to nie żmija a ja się tak przestraszyłam! — z odcieniem zawodu w głosie rzekła pani Marcinowa. — A to wszystko przez tego zbereźnika, co niepotrzebnego narobił alarmu. I woda się wylała, i ogień zagasł, i wszystko nanowo robić potrzeba!

— Niema się co Marcinowa na niego gniewać, że nie odróżnił on węża od żmii — uspakajającym tonem rzekł profesor. Wiele osób tę omyłkę popełnia.

— A jaka jest różnica między niemi?... — spytał ciekawie Pawełek, siadając przy profesorze i zapominając o całym

gniewie Marcinowej, która zajęła się na nowo rozpalaniem ognia.

— Żmija — zaczął profesor, mimowoli przybierając taki ton, jaki miewał na katedrze, wobec całej gromady uczniów— wybitnie się różni od innych wężów krajowych — ma ona głowę płaską i rozszerzoną, wyraźnie odcinającą od reszty ciała, ogon zaś bardzo wązki; podczas gdy u innych wężów poszczególne części ciała przechodzą jedne w drugie bez wyraźnej granicy. Na grzbiecie ciągnie się zygzakowata czarna pręga. Wszystkie te cechy są pozornie łatwe do odróżnienia; że jednak ubarwienie żmii jest nadzwyczaj zmienne i trudno szukać pręgi na grzbiecie lub oglądać kształt głowy gada, wijącego się groźnie przed nami i zagrażającego nam ukąszeniem, daleko lepiej wogóle unikać wężów, a zwłaszcza nie drażnić ich, gdyż siła jadu żmii wzmaga się jeszcze bardziej, jeżeli wpadnie ona w złość.

— To u nas są i grzechotniki?.,.—pytał dalej ciekawie Pawełek?

— Nie, mój chłopcze—odparł profesor— grzechotniki żyją tylko w Ameryce. U nas przebywa jeden tylko gatunek żmii zygzakowatej, zwany przez lud gadziną. Dochodzi on do 75 cm. długości, przebywa najczęściej w zaroślach, na wyrębach, lubi miejsca kamieniste, rzadziej zdarza się wśród błot. Lubi wygrzewać się na słońcu i przeważnie żywi się myszami. Do rzędu nieprzyjaciół jej, oprócz człowieka, należy w pierwszym rzędzie jeż, któremu jad jej nie szkodzi, niektóre ptaki drapieżne i bocian. Na zimę żmija zasypia gdzie pod starym pniem i budzi się dopiero w kwietniu.

— A żyją u nas jakie inne węże, oprócz gniewca?.. — dopytywał się Pawełek.

— Są jeszcze dwa: miedzianka i tak zwany wąż wodny. Jest on dość duży, niebieskawo-szary w czarne kropki na grzbiecie i czarne pręgi na brzuchu. Przebywa zwykle w sąsiedztwie strumieni oraz w wilgotnych zaroślach, gdzie poluje na żaby, stanowiące najulubieńszy jego pokarm. Również bardzo zręcznie łapie mniejsze ryby w wodzie, a jaszczurki, myszy, oraz inne drobne stworzenia na lądzie. Zdobyczy swej nigdy nie gryzie ponieważ zęby jego do tego są za słabe, lecz połyka je żywcem i całkowicie, co z łatwością może uskutecznić dzięki nadzwyczajnej ruchliwości i rozszerzalności paszczy, właściwej wszystkim wężom.

Połknięcie całej zdobyczy jest dla niego rzeczą bardzo męczącą i trwa co najmniej kwadrans czasu.

Po najedzeniu się, zapada wąż w senność i odrętwienie, i w tym stanie spędza dni kilka, a nawet kilkanaście, obchodząc się przez ten czas zupełnie bez pożywienia. Pływa doskonale i chętnie przebywa w wodzie. Dla ludzi jest zupełnie nieszkodliwy, gdyż zęby jego nie są w stanie przegryźć nawet skóry. Oswaja się też łatwo i chętnie osiedla się w mieszkaniach ludzkich, pełza po nich i jada z jednej miski z dorosłymi lub z dziećmi.

Na Litwie czczony był za czasów pogańskich i przeżytki tego pozostały po dziś dzień.

I u nas lud ma masę legend i podań o wężach. Np. jedna z nich głosi, że niegdyś węże chodziły na nogach.

Lecz razu pewnego jeden z nich nastraszył Marję Pannę: za karę utracił nogi i pełzać musi po ziemi.

Niesłusznie u nas biorą za węże tak zwane padalce, małe, barwy lśniąco-bronzowej, z trzema czarnemi pręgami wzdłuż grzbietu.

Jest to stworzenie zupełnie bezbronne i bojaźliwe, wbrew przysłowiu: „mały jak palec, a zły jak padalec".

Należy on właśnie do gatunku jaszczurek beznogich, czego w zupełności dowo-

dzi jego budowa. Ogon jego odłamuje się bardzo łatwo, tak jak u jaszczurek i stąd pochodzi nawet nazwa jego: padalca albo krucholca. Żywi się on owadami, robakami, ślimakami, należy zatem do stworzeń pożytecznych.

Profesor skończył swój wykład akurat w swoją porę, gdyż pani Marcinowa przygotowała już posiłek.

Zabrali się do niego z apetytem, wywołanym długą podróżą.

Jeden za drugim znikały przysmaki pani Marcinowej, czem najlepszy hołd składano jej zdolnościom kulinarnym.

Naraz na drodze dał się słyszeć turkot jakiś, i ukazała się na niej tocząca się szybko bryczka, zaprzężona w parę rosłych koni. Siedziało na niej trzech strażników.

Na widok rozłożonego w cieniu drzew obozowiska na twarzach ich odbiło się zdumienie. Zatrzymali konie, i dwóch z nich zsiadłszy z bryczki, poczęło zbliżać się do siedzących.

Profesor patrzał na nich spokojnie, nie podejrzewając nic złego. Zbliżyli się wreszcie i starszy z nich zapytał ostro tonem urzędowym:

— A wy tu co robicie?..

Profesor odrzekł mu na to grzecznie:

— Jak pan widzi, odpoczywamy i posilamy się.

— A wy kto jesteście?... – zapytał znów strażnik.

— Profesor Nicki — odrzekł profesor: a to gospodyni moja, pani Marcinowa, furman Tomasz i chłopiec—Pawełek.

Przedstawienie to jednak nie wystarczyło strażnikowi, gdyż przybierając jeszcze bardziej urzędową minę, zapytał:

— A paszport u was jest?

Podniósł się profesor i szukać począł w kieszeniach ubrania.

Lecz tam nie było tego tak potrzebnego w podróży po kraju dokumentu. Wstał wtedy i zbliżywszy się do bryki, szukać począł w sakwojażu. Lecz i tam znaleźć go nie mógł.

Uderzył się w czoło, i przypomniał sobie, że paszport jego spoczywa sobie w szufladzie biurka, gdyż dzięki swemu roztargnieniu, zapomniał o nim.

Zupełnie szczerze przyznał się do tego strażnikowi, na co ten z flegmą oświadczył:

— Nu, wobec tego aresztuję was... Pozwólcie do gminy... posiedzicie tam sobie aż do czasu wyjaśnienia osobistości. A to etapem odeślemy was do powiatu, a ztamtąd do gubernji.

Profesor spokojnie przyjął te słowa, gdyż wiedział dobrze, że wszelki opór daremnym będzie.

Inaczej rzecz się miała z panią Marcinową...

Porwała się z miejsca, jakby ukąszona przez żmiję, i posuwając się naprzód ku strażnikom, zawołała:

— Kogo wy aresztujecie?.. kogo?.. pana profesora?.. pana, którego zna cała Warszawa... któremu się nawet sam komisarz kłania! I wy go chcecie aresztować, a potem etapem odsyłać. I mnie chcecie aresztować... mnie. Marcinowę Tukalską... wdowę, com nigdy w życiu w kozie nie siedziała. O, niedoczekanie wasze! Żywą mnie nie weźmiecie.

I stała z miną tak groźną, wsparta rękoma o biodra, że aż strażnik cofnął się zmięszany, nie wiedząc, co ma dalej z tym fantem robić.

Nie wiadomo też coby się dalej stało, gdyż mina buńczuczna pani Marcinowej poczęła irytować strażników, którzy po chwilowem zmięszaniu, posuwać się ku niej poczęli, gdyby nie interwencja profesora.

— Pozwólcie, panowie—rzekł—prawda, że nie mam przy sobie dokumentów.. pozostawiłem je w Warszawie... Lecz

moje nazwisko... nazwisko profesora Nickiego, dobrze jest tam znane... Zatelegrafujcie tam, proszę, a dowiecie się wszystkiego...

— Nu, nie my będziemy telegrafować, — odrzekł ostro strażnik: od tego nad nami jest wyższa władza... Nasza rzecz dostawić was do aresztu, a potem złożyć raport naczelnikowi... Nu, a on tam niech sobie robi co chce...

— A jak długo możemy czekać na wynik tego raportu?... zapytał spokojnie profesor.

— Nu, ja nie wiem... zależy czy naczelnik będzie w powiecie... Niekiedy trwa to aż całe dwa tygodnie... A może i dłużej... Jak naczelnik każe, to się was odstawi etapem do powiatu, a może i do Warszawy przyjdzie was wieść...

Skrzywił się nieprzyjemnie profesor na taki prognostyk, a pani Marcinowa jeszcze sroższą przybrała minę... Zdawało się, że rzuci się na strażników i bić ich zacznie...

Spostrzegł to profesor i rzekł stanowczo:

— Proszę się uspokoić, Marcinowo... Awanturami nic nie wskóramy, tylko pogorszymy sprawę... Musimy uledz tym panom i jechać z nimi... Ach, żebym mógł jakimś sposobem dać znać do pana Chajęckiego, do Wronówki — westchnął na zakończenie, jakby do siebie...

— Nu, prędzej pan, — rzekł starszy strażnik: — ładujcie się i zaprzęgajcie, bo szkoda czas tracić... My jeszcze dzisiaj musimy jechać w okolicę... A i raport naczelnikowi trzeba posłać...

— Tomaszu, proszę pakować — rzekł profesor Nicki znękanym głosem — Marcinowo, trzeba pakować...

D. c. n.

KRONICZKA.

△ Stany Zjednoczone w północnych prowincjach uległy ogromnym nawałnicom śniegowym, przyczem morze przy porcie nowojorskim zamarzło.

△ Bezrobocie górników w Westfalji, w Niemczech, wśród których pracuje wielu polaków, trwa jeszcze. Wskutek starć z policją padło wielu rannych i zabitych. Znaczną część wśród nich stanowią Polacy.

△ Uroczysty obchód na cześć Zygmunta Krasińskiego odbył się w Wiedniu.

△ W dniu 27 b. m. odbył się w teatrze Wielkim w Warszawie jubileusz 25 letniej pracy literackiej znanego i cenionego poety Kazimierza Przerwy-Tetmajera. Odegrano znakomity dramat jego p. t. „Zawisza Czarny“.

Drobiazgi.

Kwestja etymologiczna. Jak się powinno pisać biuro przez *u*, czy też przez *ó*?

— Naturalnie, że przez *ó*, ponieważ wszyscy w niem biorą... pensje.

* * *

— Proszę pana, ja tu odesłałem panu buciki, bo są okropnie ciasne.

— Ciasne — to być nie może.

— Może, albo nie może, dość że buciki są zamałe.

— To prędzej noga zaduża, bo buciki są w sam raz.

„O własnych siłach“.

PIERWSZA WYCIECZKA.

FILTRY.

(Wrażenia czytelnika).

Budzę się. Leniwie przeciągam się na łóżku, ale myśl zajęta tem, co dziś zobaczę, nie pozwala mi leżeć długo, więc zrywam się, podchodzę do okna i otwieram je. Do pokoju wtargnął prąd świeżego powietrza, blask marcowego słońca tak ciepłego, że mimowoli wyrywa się okrzyk.

— Jak dziś ślicznie, prawdziwa wiosna!

Wtem spoglądam na zegar. Godzina 8 i pół. Późno—myślę sobie, trzeba czemprędzej się ubierać. Gdy już toaleta moja była ukończona, na co, wprawdzie, nie potrzebowałem wiele czasu, z niecierpliwością oczekuję głosu mateczki, wzywającego na śniadanie, po spożyciu którego chciałbym być jak najprędzej na miejscu zbornem przed bramą filtrów, przy ulicy Koszykowej 81. Tam pod opieką Redaktorki „Naszego Świata“ pani Bujno Arctowej, mamy zwiedzić filtry, to jest urządzenia wodociągowe w naszem mieście.

Nareszcie słyszę głos:—Dzieci, na śniadanie!

Biegnę, jem, co mi dano i bez zwłoki, powiedziawszy rodzicom i rodzeństwu do widzenia, wychodzę.

Na wskazanem przez naszą opiekunkę miejscu, spostrzegam współtowarzyszy wycieczki. 9 m. 25. Brakuje 5-ciu minut, Oczekiwanie skracamy rozmową. Gdy jest najwięcej ożywioną. słyszymy turkot powozu; zwracamy oczy w tym kierunku i spostrzegamy, miłym serdecznym uśmiechem, rozjaśnioną twa z naszej kochanej redaktorki, tak drogiej każdemu czytelnikowi „Naszego Świata“ i „Mojego Pisemka“.

Jeszcze sekunda i już jest między nami. Po serdecznem powitaniu nasza opiekunka poszła rozmówić się z inżynierem, zarządzającym stacją filtrów a my, przez ten czas, oglądamy to, co jest godnem widzenia przed budynkami, w których mieszczą się osadniki, filtry i inne urządzenia techniczne. Wreszcie wszyscy skierowaliśmy kroki nasze wraz z przewodnikiem ku osadnikom.

Jest ich 6. W każdym osadniku są dwie rury, któremi smoki wiślane (nie legendowe, tylko parowe) ciągną wodę z Wisły do osadników. W osadnikach woda osadza się, to jest cząstki stałe opadają na dno, a woda ich pozbawiona, przepływa do innych oddziałów. Osadniki są oczyszczane co pół roku. Wówczas smoki przestają działać, wodę z osadników wypuszczają i wtedy można je łatwiej i bezpieczniej czyścić. Następnie woda przepływa do filtrów, w liczbie 24.

Filtry są tak urządzone, że woda przepływa przez warstwę piasku i kamieni, która w nich jest ułożona, i takim sposobem oczyszcza się, czyli filtruje. W końcu wpływa do dwóch zbiorników, z których maszyny ciągną wodę na wieżę ciśnień dwiema rurami, a następnie własnym ciężarem spada na dół i rozgałęzia się w setki innych rur, zasilając miasto.

Maszyny, które poruszają tłoki, mieszczą się w dwóch budynkach. W każdym jest 3 maszyny i po 6 kotłów, które wyrabiają parę do poruszania maszyn; w razie zepsucia jednej z maszyn zatrzymują ją i naprawiają, tymczasem ażeby nie pozbawiać miasta wody puszczają w ruch zapasowe maszyny. Zapasowych jest 2, w każdym budynku po jednej.

Wreszcie idziemy do wieży ciśnień, ale ku wielkiemu naszemu zmartwieniu na górę nas nie puścili, tłomacząc się tem, iż schody w górze są niebezpieczne i wymagają naprawy. Szkoda, ale powetujemy to sobie innym razem! Filtry warszawskie, urządzone przed 25 laty, są podobno najlepszymi nie-

tylko w Europie, ale jak mówią podróżnicy, nawet na całym świecie.

Nakoniec przewodnik oznajmia, że wycieczka skończona: a pani redaktorka dodaje, iż w przyszłą niedzielę zjawi się znowu w liczniejszem towarzystwie.

Ach! już koniec. Jak nam czas szybko minął! Zwiedziliśmy wszystko i wracamy poważni, porządkując w głowach wszystko cośmy widzieli, i jednocześnie odprowadzając naszą kochaną opiekunkę, wyrażając nadzieję, iż w jej miłem towarzystwie będziemy zwiedzać, jeszcze ciekawe i pożyteczne instytucje; a tem samem wzbogacać naszą wiedzę nowemi wiadomościami i nie jedną miłą chwilę spędzić wspólnie z innymi czytelnikami „Naszego Świata".

Leliwa.

Łamigłówka sylabowa.

ułożona przez «Pęk Fijołków».

Z następujących sylab ułożyć 15 wyrazów, których początkowe litery, czytane z dołu do góry, utworzą imię i przydomek króla polskiego.

Sylaby: a, ba, bo, bra, ba, ce, cel, czy, dom, el, ga, her, ka, lal, lec, lesz, ło, o, ol, ra, ry, so, soś, stwo, stro, szyng, szard, ta, to, ton, ter, wa, wie, wiec, y, ra.

Znaczenie wyrazów:

1. Samogłoska.
2. Imię męzkie.
3. Tytuł powieści historycznej J. I. Kraszewskiego.
4. Miasto fabryczne.
5. Miasto gubernialne.
6. Napój.
7. Naród starożytny.
8. Prowincja w Ameryce.
9. Odmiana papugi.
10. Ryba.
11. Miejscowość kąpielowa w Królestwie.
12. Rzeka w Niemczech.
13. Zabawka.
14. Imię żeńskie.
15. Stopień pokrewieństwa.

Zadanie głoskowe

—o—

Z następujących liter ułożyć znane przysłowie.

1. E
2. E J
3. R A K
4. O W C E
5. T O K I O
6. D E W I Z A

GAWĘDKA LISTOWNA.

W. Chmielewski wziął za przedmiot do łamigłówki imię i nazwisko tak bezustannie na ten cel używane! Czy już nie można znaleźć innego?

Siostry Błękitnego Krzyża łamigłówka jest ładną lecz w obranem nazwisku jest błąd: zamiast *ż* powinno być *zi.*

Miłośniczki Przyrody i Rinalda Rinaldiniego łamigłówka drukowaną być nie może, z powodu zbyt pretensjonalnego i przez to niewyraźnego pisma.

Irence M. z Częstochowy. Arytmograf będzie umieszczonym.

Longinusa Podbipięty zadanie umieszczę.

A. Seiffe z Kalisza pierwsza łamigłówka jest zbyt łatwą, a druga może mieć znaczenie tylko dla warszawian, tembardziej, iż nie wskazano nawet, gdzie to pismo wychodzi.

Szaradę *Zebci G.* przyjmuję.

Przy łamigłówce *Ewy W.* brak rozwiązania, a nam znów na jej odgadywanie brak czasu; drukowaną więc być nie może.

Werze W. dać muszę tę samą odpowiedź.

Wandy L. łamigłówkę gieograficzną przyjmuję. Rocznik «Naszego Świata» był wysłany pod opaską pocztową Nr. 23.

Zosi P. z Krasiłowa. Obie wymienione książki są bardzo zajmujące i zasługują na to, że

je lubicie. Powieść p. t. «Serca dziewczęce» jest współczesną i napewno podoba się czytelnikom i czytelniczkom «Naszego Świata». Dodatki w zeszłym roku kosztowały po 20 kop. (jako zwrot kosztów oprawy), w tym zaś tylko po 15 kop. za tom.

Wszystkim naszym miłym czytelniczkom i czytelnikom, z którymi w serdecznym stosunku przeżyliśmy przeszło półtora roku, składamy serdeczne życzenia wesołych i przyjemnych Świąt.

Wesołego Alleluja!

Redakcja.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej i gieograficznej z N-ru 10-go nadesłali: K. Zemlich, Jerzy Dufrène. Ponury Sęp, Bystry Sokół.

Rozwiązanie łamigłówki gieograficznej i znakomitych ludzi z N-ru 11-go nadesłali: K. Zemlich, Jerzy Dufrène, Halunia Chrzanowska, Wanda Langiertowna, Ignaś Zielnik, Ponury Sęp, Kamilla Bogucka, Jasnota z nad Świdra, Bystry Sokół.

Rozwiązanie łamigłowki 1-ej i 2-ej z N-ru 12-go nadesłali: Płomyk, K. Zemlich, Sarenka i Sokoł z ul. Topiel, Serce Sokole.

Dla uniknięcia zwłoki w przesyłce, uprzejmie prosimy o wcześniejsze przysyłanie przedpłaty na kw. 2 gi.

Do N-ru dzisiejszego (14) dołączamy zawiadomienie o Sanatorjum D-ra I. Frenkla w Chylicach.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej z Nr. 10.

1. Nemezis
2. Antygona
3. Polihymuia
4. Olimpiady
5. Laomeden
6. Eumenidy
7. Oidipus
8. Niniwa
9. Brahma
10. Odysseja
11. Nereidy
12. Afrodyta
13. Posejdon
14. Artemida
15. Rubikon
16. Temida
17. Eurydike

Napoleon Bonaparte.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej z Nr. 10.

1. Jagiełło
2. Ontarjo
3. Amarantowy
4. Chiny
5. Henryk
6. Ilmeń
7. Mochnacki
8. Lampart
9. Eljasz
10. Litwini
11. Europa
12. Waza
13. Eskimosi
14. Leniwiec

Joachim Lelewel.

Administracja uwzględnia reklamacje tylko w przeciągu dwóch tygodni i tylko prenumerujących pismo **wprost** w administracji (Nowy-Świat 53 i Ordynacka 8 m. 7).

Adres Administracji—Nowy-Świat 53.

Adres Redakcji—Ordynacka 8 m. 7.

Warunki prenumeraty.

	w Warszawie	z przesyłką
Rocznie	rb. 2 kop. 50	rb. 3 kop. 50
Półrocznie	„ 1 „ 25	1 „ 80
Kwartalnie	„ — „ 65	— „ 90
Rocznie z dodatkami w oprawie	rb. 4 kop. 30	5 „ 30

Za odnoszenie do domu 10 kop. kwartalnie.
W Galicji kwartalnie kor. 2.40.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor i wydawca: **Marja Bujno-Arctowa**

Druk M. Arcta w Warszawie, Ordynacka 3.